MAŁGORZATA MANELSKA

Kiedy wojna burzy życie,
miłość jest ostatnią ostoją.

ROZDZIELENI PRZEZ LOS

FILIA

MAŁGORZATA MANELSKA

ROZDZIELENI
PRZEZ LOS

FILIA

Pamięci Danuty Suchty, dwunastoletniej
ofiary akcji T4 w lesie pod Sewerynowem

PROLOG

luty 1940

gdzieś pod Sewerynowem

Zaprzęg konny wolno poruszał się po drodze pokrytej błotem pośniegowym. Siedzące na wozie osoby rozglądały się uważnie wokół, jakby ze strachem. Opatulona w chusty kobieta wodziła wzrokiem na boki, wypatrując patroli żandarmów. Modliła się w duchu, by nikogo po drodze nie spotkać. Oboje z mężem byli wyposażeni w stosowne dokumenty podróżne, pozwalające im przemieścić się z Sewerynowa do Różana, jednakże mieli ze sobą kosz ziemniaków i trochę słoniny z zabitego nielegalnie wieprzka. Jechali do leżącej w połogu krewnej i nie wypadało pojawić się z pustą ręką, toteż ryzykowali ogromnie, bo Niemcy kontrolowali wszystkich po drodze, a kto przewoził coś bezprawnie, mógł nawet trafić do obozu.

– Można było zostawić słoninę w domu – wymamrotała kobieta, bardziej może do siebie niż męża. – Jak nas zatrzymają, to Bóg jeden raczy wiedzieć, co nam grozi.

– Daj, matka, spokój. Niech Jadzine dzieci choć smalcu pojedzą, a nam może jakoś ujdzie płazem – odrzekł chłop.

Był bardziej odważny od żony, a i gadane miał lepsze. Wprawdzie nie musiał dotychczas tłumaczyć się z niczego przed wrogiem, ale grał bohatera przed samym sobą, mówiąc, że Niemiec

też człowiek. Jak mu się wręczy łapówkę, to przymknie oko na łamanie przepisów.

Głęboką ciszę rozciągającą się ponad lasem, przerwały niskie, lecz donośne odgłosy wydawane przez stado krążących kruków. Swą czernią, niczym jakąś żałobną płachtą, ptaki na chwilę przesłoniły część szarego o tej porze nieba. Zniknęły, by po kilku minutach na powrót pojawić się ponad linią drzew. Krążąc, nawoływały śpiewnym krzykiem, jakby chciały przyciągnąć czyjąś uwagę. Ptaki, zawodząc sobie tylko znanym kodem, to obniżały swój lot, to znów podrywały się, zataczając coraz to większe okręgi.

– Jezu, Maryjo, co to? – Kobieta zrobiła znak krzyża. – Zły znak, jak nic.

– Tfu, babo, bądź cicho, żebyś jakiego licha nie obudziła – ofuknął ją mąż, lecz w myślach zrobił znak krzyża, jak i ona.

Nagle na brudnej bieli rozpuszczającego się śniegu zamajaczył przed nimi jakiś kolor. Chłop ściągnął lejce, zatrzymując konia. Przez chwilę patrzyli oboje z żoną na leżący na drodze czerwony przedmiot.

– Co to jest? – Kobieta zmrużyła oczy, lecz i tak nie mogła dostrzec, co spoczywało na śniegu.

– Zejdę i zobaczę. – Chłop oddał lejce żonie, a sam zsunął się na ziemię. Momentalnie jego buty ugrzęzły w śniegowej brei. Pokonując z trudem niedługi odcinek, w końcu dotarł do leżącego przedmiotu. Po chwili odwrócił się i pokazał kobiecie czerwony dziecięcy bucik, nawet niezniszczony, za to wykonany z największą starannością. Długi, do kolan, sznurowany. Piękny.

– Co tam masz? – zainteresowała się kobieta.

– But – odrzekł krótko chłop.

– But? – zdumiała się żona. – Ktoś zgubił but?

– A bo ja wiem? – obruszył się chłop.

– Duży ten but? – drążyła kobieta. – Może nada się dla mnie, jak znajdziesz drugi.

– Mały, jakby dzieciaka – odparł woźnica.

– Rozejrzyj się, może gdzie drugi leży – rozkazała żona. Sami nie mieli dzieci, ale jakby tak udało się im sprzedać parę bucików, pewno by parę groszy za nie dostali.

Chłop, mamrocząc pod nosem, że baba bałamuci, kiedy mają na wozie słoninę, a w każdej chwili Niemcy mogą ich zatrzymać, oddalił się kilka kroków w poszukiwaniu bucika do pary. Niczego jednak nie dostrzegł i już miał wracać na wóz, gdy nagle wzrok jego padł na coś drobnego, leżącego tuż pod nogami. Pochylił się, by wygrzebać przedmiot z błota pośniegowego. Ku jego zdziwieniu okazał się to różaniec. Zmarszczył czoło, patrząc na znalezisko. Coś mu tu nie pasowało. Nie mógł to być przypadek, że znajduje na drodze dziecięcy bucik i różaniec. Kto w dzisiejszych czasach gubi takie przedmioty?

Nagle poczuł jakieś przeszywające go na wskroś zimno. Wzdrygnął się, jakby upiora zobaczył. Nie oglądając się, ruszył, by na powrót zasiąść w pojeździe. Bez słowa podał kobiecie znaleziska, po czym z całej siły zdzielił batem biednego konia. Zwierzę wyrwało z miejsca, jakby zło jakie je goniło.

CZĘŚĆ I

Nasza miłość będzie trwać dopóty,
dopóki to drzewo będzie rosło…

ROZDZIAŁ 1

sierpień 1938

Maków Mazowiecki

Słońce już dawno było po drugiej stronie rynku, lecz ciepłe promienie wciąż otulały dziką plażę nad Orzycem, gdzie mieszkańcy miasteczka lubili spędzać letnie popołudnia. Wśród porastających brzegi szuwarów znajdowała się zatoczka, a przejrzyste i płytkie dno pozwoliło korzystać z niej amatorom wodnych kąpieli. Nurt rzeki był tu powolny i spokojny, przez co matki nie obawiały się, że dzieci się im potopią podczas zabaw nad wodą. Dziatwy zatem tam nigdy nie brakowało, a i wypoczywających dorosłych po wyczerpującym dniu pracy zawsze było pełno.

Gdy na dzwonnicy kościelnej w miasteczku wybrzmiały ostatnie wieczorne dźwięki obwieszczające zakończenie dnia, większość osób relaksujących się nad rzeką zaczęła zbierać się do powrotu do domu. Kobiety wkładały sukienki, ubierały ociągające się dzieci, wkładały do koszyków resztki prowiantu, mężczyźni starannie składali czytane gazety, chowali do kieszeni papierośnice. Plaża powoli pustoszała. Nad samym jej brzegiem została czwórka młodych ludzi. Młodzieńcy mieli na sobie kąpielówki, a dziewczęta nieco wstydliwie kuliły się w swoich trykotach plażowych.

– Władek, to co, dajemy nura do rzeki?! Ostatni raz! – zaproponował Jurek Krupa, dwudziestodwuletni przystojny szatyn, pomocnik ojca w miejscowym sklepie kolonialnym.

– Jasne! Ścigamy się, kto pierwszy na drugi brzeg i z powrotem! – zawołał Władek Przybyszewski, rówieśnik Jurka, z którym przyjaźnili się od najmłodszych lat. Nie czekając na odpowiedź kolegi, poderwał się z ziemi i zaczął biec w stronę rzeki. Po chwili Jurek go dogonił i obaj z głośnym pluskiem wpadli do wody.

– Niczym dzieci! – Helena przewróciła oczami. – Jak się spotkają, zapominają, że są dorośli i tak naprawdę mogliby już mieć swoje rodziny…

– Daj spokój, niech się wyszaleją. – Maria ze śmiechem powiodła wzrokiem za młodzieńcami. Po chwili spoważniała. – Podobno mają lada dzień dostać wezwania do odbycia służby wojskowej.

Twarz Heleny spąsowiała. Zakłopotana, założyła za ucho opadający kosmyk włosów.

– A skąd wiesz? – spytała ochrypniętym głosem.

– Słyszałam w składzie pana Krupy. Mówił, że będzie musiał jesienią kogoś zatrudnić do pomocy, jak Jurek pójdzie do wojska. – Maria spojrzała współczującym wzrokiem na przyjaciółkę. Wiedziała, że młodzi sympatyzują ze sobą, choć nie padły między nimi jeszcze żadne poważne deklaracje.

– Myślisz, że Jurek pójdzie do wojska jeszcze tej jesieni? – zapytała Helena z nadzieją.

Maria jednak nie zdążyła jej odpowiedzieć, bo roześmiani młodzieńcy, roztrząsając wokół krople zimnej wody, właśnie opadli obok nich na ziemię.

– Wygrałem! – Władek klepnął przyjaciela w ramię.

– Gdybym nie zaplątał się w jakieś świństwo, pewnie ja bym wygrał! – Jurek był lekko naburmuszony. Chciał się popisać przed Helą, ale się nie udało. Dziewczyna jednak i tak patrzyła na niego zakochanym wzrokiem, chłonąc wszystko, co mówił i jak się zachowywał.

– Na mnie już pora – rzekła Maria. – Miałam tylko odnieść szycie do klienta i zaraz wracać do domu. Mama niechętnie pozwala mi chodzić samej po mieście.

Mówiąc to, dziewczyna zaczęła wkładać na siebie błękitną sukienkę w drobne kwiatki. Helena spojrzała z zazdrością na ubiór przyjaciółki. Jeszcze kilka lat temu Chajatowie[1] prowadzili największy zakład krawiecki w miasteczku, który zatrudniał kilku wykwalifikowanych czeladników, był wyposażony w nowoczesne maszyny do szycia, dysponował osobnymi pomieszczeniami do krojenia, szycia i prasowania gotowych wyrobów oraz do przyjmowania zamówień i dokonywania przymiarek. Niestety szerzące się animozje polsko-żydowskie spowodowały, że społeczeństwo zaczęło bojkotować zakład, w wyniku czego obroty handlowe Joachima Chajata dramatycznie spadły. Był zmuszony zredukować większość pracowników, niektóre obowiązki wziął na siebie, w niektórych pomagały mu żona i starsza córka, zmniejszył powierzchnię zakładu oraz pozbył się maszyn do szycia. Niemniej garderoba Marii, uszyta w zakładzie krawieckim ojca, i tak wzbudzała w Helenie niezmienną zazdrość, choć przyjaciółka nigdy nie dała tego po sobie poznać.

– Mogę cię odprowadzić? – Władek obdarzył dziewczynę taksującym spojrzeniem.

Pod jego wpływem policzki Marii oblały się szkarłatem, co jeszcze bardziej ją zawstydziło. Szybko skinęła głową, po czym skoncentrowała się na wygładzaniu wymiętej sukienki.

– To i my już pójdziemy – rzekł Jurek, nie pytając Heleny, czy może ją odprowadzić.

W ciągu kilku chwil obie pary rozeszły się w dwóch różnych kierunkach. Maria i Władek szli niespiesznie w kierunku rynku, wiedząc, że mają dla siebie niewiele czasu, gdyż dom Chajatów stał w samym centrum. Wieczorny chłód ciągnący od rzeki zaczął powoli ustępować cieplejszemu powietrzu, wydzielanemu przez

[1] *Chajat* (jidysz) – krawiec.

nagrzane w ciągu dnia budynki. Uliczka, którą zmierzali w kierunku rynku, była pusta, wszak nadeszła pora kolacji i całe rodziny gromadziły się przy stołach, by spożyć razem posiłek. Mijane domy, po części drewniane, usytuowane były przy samej drodze. Nisko osadzone okna zapraszały przechodniów, by zajrzeć przez nie do wnętrz mieszkań, jednakowo skromnie urządzonych, które wyróżniały ozdobione kwiatami parapety. Przyciągały wzrok bogactwem barw i gatunków. Dominowały na nich koleusy, pachnące geranium i asparagusy, rozpościerające swe pierzaste gałązki na prawo i lewo.

– Słyszałam, że idziecie z Jurkiem do wojska. – Maria przerwała milczenie.

W sklepie pana Krupy usłyszała tylko o Jurku mającym odbyć służbę wojskową, ale ponieważ obaj młodzieńcy byli równolatkami, doszła do wniosku, że na pewno razem dostaną powołanie do jednostki.

Władek przystanął w pół kroku i uniósł brew w geście zdziwienia. Nie spodziewał się, że dziewczyna poruszy temat, który od jakiegoś czasu spędzał mu sen z powiek. Przewidywał, że tej jesieni otrzyma wezwanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej. I choć Przybyszewski raczej nie był typem zawadiaki i hulaki, lubił żarty i wygłupy, ale o wojsku myślał jak o miłym sercu obowiązku ku chwale ojczyzny. Patriotyzm i poszanowanie kraju wpajano mu od dziecka, wszak dorastał w rodzinie, gdzie mundur i służba nie były mu obce.

– A gdybym poszedł, tęskniłabyś? – Dotknął jej dłoni, uśmiechając się zalotnie. Spojrzał na Marię, ale nic nie wyczytał z jej twarzy. Patrzyła przed siebie, starając się nie okazać mimiką żadnych emocji. – Marysiu…? – powtórzył w nadziei, że usłyszy pozytywną odpowiedź.

– Nie… nie wiem – odparła dziewczyna. – Wprawiasz mnie w zakłopotanie … – dodała i ruszyła, nie oglądając się za siebie. – Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

– Marysiu! Łamiesz mi serce! – zawołał, chwytając się za lewą pierś. Widząc jednak jej zakłopotanie, spoważniał. – Pewnie na

dniach dostanę wezwanie – rzekł, zatrzymując się przy wejściu na rynek. Maria również się zatrzymała. – Byłoby mi lżej iść do wojska, gdybym wiedział, że ktoś tu będzie na mnie czekał. To tylko osiemnaście miesięcy… – powiedział, muskając opuszkami palców jej ramię. – Obiecaj, że zaczekasz na mnie.

Zrobił krok w jej stronę i ujął jej drobną twarz w dłonie, zmuszając, by spojrzała mu w oczy. W jednej chwili poczuł delikatną woń jakichś ziół. Nie mógł ich zidentyfikować, lecz zapach nie był mu obcy. Jego matka i siostra pachniały podobnie. Oczekując odpowiedzi, zatrzymał wzrok na twarzy dziewczyny. Cerę miała jasną, a nos lekko zadarty. Jej okrągłą, nieco dziecięcą buzię, okalały kasztanowe, proste włosy, zaplecione w dwa długie warkocze, upięte wokół głowy. Duże, bursztynowe oczy patrzyły spokojnie, wyczekując dalszego rozwoju sytuacji.

– Obiecaj… – powtórzył, zbliżając usta do jej ust.

Gdzieś nieopodal rozległy się czyjeś kroki. Maria gwałtownie się cofnęła.

– Jak…? – Zrobiła zrozpaczoną minę. – Nie mogę ci tego obiecać, zbyt wiele nas dzieli.

– Mylisz się! – Władek pokręcił głową i przeczesał włosy dłonią. – Więcej nas łączy, niż dzieli!

Prychnęła niegrzecznie i się odwróciła. Choć Władek był jej bliski, nie mogła mu tego pokazać. Serce rwało się do niego, ale wiedziała, że są z dwóch różnych światów. On katolik, ona Żydówka. Mimo że jej rodzina już dawno w pełni się zasymilowała, na każdym kroku odczuwała swoją inność. Szanowano ich, choć dla wielu sąsiadów byli obcy. Patrzono na nich z rezerwą, bo powodziło się im lepiej niż innym, a jej ojciec odnosił sukcesy w interesach.

Aż nadszedł czas, gdy zaczęła zacieśniać się pętla nienawiści. W nocy budził ich dźwięk wybijanych szyb, a liczba klientów w zakładzie krawieckim z dnia na dzień gwałtownie malała. Sąsiedzi, którzy dotychczas kłaniali się im z szacunkiem, nagle na widok Chajatów zaczęli odwracać głowy, udając, że ich nie zauważają. Nieco później zaczęto ich jawnie lekceważyć i obrzucać obelgami.

Nie tylko nad rodziną Marii zawisły czarne chmury nienawiści. W Makowie nagle zaroiło się od drobnej chuliganerii, która zaczęła zakłócać handel, odciągać klientów od żydowskich stoisk przy rynku, a o comiesięcznych jarmarkach mówiono, że będą je odwiedzać bandy, napadające na Żydów. W miasteczku zaczęły pojawiać się ulotki, zachęcające do bojkotowania żydowskich interesów, a do sklepików, a nawet i domów, nieznani sprawcy wrzucali butelki z jakimiś chemikaliami.

Ojciec Marii pod wpływem społecznego ostracyzmu nagle zmalał i się skurczył. Z postawnego, pewnego siebie mężczyzny stał się człowiekiem zalęknionym i słabym. Matka Marii, Estera, widząc pewnego dnia, jak dwóch wyrostków bezkarnie w biały dzień maluje na murze ich domu antyżydowskie hasło „Grosz obcemu – krzywda narodu"[2], nie wytrzymała i wykrzyczała mężowi, że dłużej już nie wytrzyma tego napięcia. Kategorycznie zażądała, by sprzedał zakład i zaczął się starać o wyjazd rodziny za granicę. Joachim zaś patrzył pełnym bólu wzrokiem na swoją rodzinę i nie miał pojęcia, co ma im zaoferować, wszak nienawiść zaczęła rozlewać się na całą Europę. Gdy zaś został oficjalnie ogłoszony Anschluss Austrii, Joachim Chajat zdał sobie sprawę, że to już koniec pewnego etapu dla wieloletniej kultury narodu żydowskiego. Coraz częściej zaczęły nawiedzać go myśli, że nie zdoła ochronić przed złem swojej rodziny, a już na pewno przed złem nie uciekną, nie będą w stanie się ukryć.

– Marysiu…! – powtórzył Władek, patrząc na nią wyczekująco. I gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, ponownie ujął twarz Marii w swoje dłonie i złożył na jej ustach szybki pocałunek. Nim zaś zdołała się obruszyć, tuż obok rozległ się głośny krzyk Estery Chajat:

– Co tu się dzieje…?! Maria!

---

[2] *Dzieje Makowa Mazowieckiego*, tom I (do 1945 r.), pod red. J. Szczepańskiego, Urząd Miejski w Makowie Mazowieckim, Stowarzyszenie Pomocy Liceum im. Marii Curie-Skłodowskiej w Makowie Mazowieckim, Maków Mazowiecki–Pułtusk 2020, s. 403.

Młodzi odskoczyli od siebie, jakby ktoś ich polał lodowatą wodą. Maria, zawstydzona i przestraszona, chciała coś powiedzieć, lecz głos uwiązł jej w gardle. Matka jej zaś, purpurowa ze złości, patrzyła wyczekującym wzrokiem, aż któreś z młodych wytłumaczy jej ich zachowanie. Jej pełne piersi, okryte czarną bluzką zapinaną pod samą szyję, falowały w przypływie nagłej złości. Pierworodna córka obściskuje się w samym centrum miasteczka, tuż pod oknami własnego domu. Nie mieściło się to w jej głowie.

Władek postanowił dyskretnie usunąć się z widoku matki Marysi, lecz nie chciał robić tego jak tchórz. Wiedział, że wykonał pierwszy, najtrudniejszy krok, który miał sprawić, że być może dziewczyna otworzy przed nim swoje serce. Jeszcze będzie musiał przekonać do tego jej rodziców…

– Dzień dobry. Jeśli szanowna pani pozwoli, przedstawię się: Władysław Przybyszewski, do usług. Zapewne mam przyjemność z mamą Marysi… – Ukłonił się i patrzył wyczekująco na zdenerwowaną kobietę.

Chajatowa zaś rzucała wzrokiem gromy w jego stronę i nie zamierzała nawiązać żadnego kontaktu, a już na pewno odpowiedzieć na jego powitanie.

Po chwili uznał, że będzie miał czas, by zawrzeć bliższą znajomość z matką Marysi. Pochylił głowę w geście pożegnania i prędko odszedł w stronę ulicy Kościelnej, gdzie stał dom jego rodziców.

Maria powiodła za nim zmieszanym spojrzeniem. Nic nie mówiąc, udała się posłusznie w kierunku wskazanym jej przez matkę. Po chwili obie zniknęły za drzwiami prowadzącymi do domu Chajatów.

***

Podczas kolacji panowała napięta atmosfera. Wzburzona Estera energicznie mieszała herbatę w szklance, nakładała marmoladę na chleb, jednocześnie nie przestając mówić.

– Jak można być taką bezwstydnicą?! Miała iść tylko do klientki, ale chciała się jeszcze spotkać z Heleną Suchecką! Myślę sobie,

WOJNA ROZDZIELA, ALE NADZIEJA NIGDY NIE GAŚNIE

Maków Mazowiecki, lata 1938–1945.
Maria – córka żydowskich krawców – i Władek – syn polskiego policjanta – marzą o wspólnej przyszłości, jednak wojna staje na drodze do ich szczęścia. Władek zostaje wywieziony na roboty przymusowe, a Maria, nosząca jego dziecko, staje u wrót piekieł getta. Każdy dzień staje się dramatyczną walką o przetrwanie.

Gdy Niemcy rozpoczynają eksterminację Żydów, matka Marii podejmuje decyzję, która na zawsze odmieni losy jej bliskich. W tym samym czasie rodzina Przybyszewskich mierzy się z własną tragedią. Ich zmagająca się z niepełnosprawnością córka, oszukana obietnicą leczenia, zostaje zabrana przez Niemców.

Czy Maria i Władek przetrwają próbę czasu i odnajdą się po latach rozłąki?

cena 52,90 zł

FILIA

ISBN 978-83-8402-236-8
9 788384 022368